

PROMIEN

„I tyle tęcz zapalisz na swem niebie,
Ileś za młodu życia wchłonał w siebie.“

Pismo wydawane przez kółka gimnazjalne w Ostrowie (Wlkp.)

Cena 20 gr.

Redaktor Stefan Wicherzycki. (kl. VIII.)

Rok I.

I. Lutego 1926.

Nr. 7.

Staraniem Komitetu Rodzicielskiego

urządza

Chór

męski



„ECHO“

z Poznania

dnia 1. II. 1926. w sali Teatru Miejskiego w Ostrowie

KONCERT

Czysty zysk przeznaczony jest na nadbudowę gimn. męsk.

Wstęp dozwolony dla wszystkich uczniów (od I.—V. kl. tylko z rodzicami).

Zachęca się, aby wszyscy uczniowie jak najliczniej na koncert przybyli.

Początek o godz. 8. wiecz.

Ceny miejsc od 1—4 zł.

Z pamiętnika „Czapki uczniowskiej“

Niejedyn może z Was, drodzy Czytelnicy, uśmiechnie się, przeczytawszy tytuł, ale będzie to prawdziwa historia, wyjęta z pamiętnika „Czapki uczniowskiej“ — Kiedy? Którego dnia się urodziłam, nie wiem, wiem tylko tyle, że w roku 1923 byłam w składzie p. Lewandowskiego, skąd mnie zabrała moja pani. Chwil młodości nie zapomina się aż do wieku późnego, dlatego też i ja zachowałam mile wspomnienia z tych czasów.

Będąc młodą, ładną, nową, byłam prawdziwie szczęśliwa, życie płynęło mi słodko. Właścicielka moja szanowała mnie. Wisiałam zawsze na osobnym kolku, a jeśli, broń Boże spadłam, no to oczyszczano mnie i nawet odmuchiwano. Czyszczono mnie conajmniej dziesięć razy dziennie. Dla czego istniałam? — Nie wiem. Sądziłam, że tylko dla okrywania głowy, i do dawania trochę wdzięku mej pani. Nieraz widząc się w lustrze (naturalnie na głowie mej pani) i słysząc pochwały jej: „Ach, jak doskonale leży! Do prawdy, że piękna“ sądziłam, że nic mi już nie potrzeba, że wystarczy jedno choć podobne słowo, by moja dusza „czapkowska“ wzleciała w błękity.

Tak było z pół roku. — Wyglądałam jeszcze świeżo, zgrabnie, choć oczyszczona już tylko raz dziennie. Mogę powiedzieć, że zgrabniej nawet, bo nieraz pani mówiła, że gdy byłam nową, to siedziałam wprost niemożliwie na głowie. To jednakże nie przeszkadzało, że byłam piękną. Życie płynęło mi spokojnie, bez nadzwyczajnych wzruszeń. Byłam zadowoloną. Zauważyłam jednak, że moja właścicielka nie troszczyła się o mnie, tak, jak dawniej. Teraz częściej leżałam na ziemi, kolor mój trochę się zmienił, ale jeszcze byłam zupełnie porządną czapką, bez najmniejszego zarzutu. W tym czasie dowiedziałem się różnych rzeczy, nawet takich, których może Wy Drodzy czytelnicy nie znacie. Wszystko co mówiły panie takich, jak ja czapek. Byłyśmy wszystkie jednakowe, z tą różnicą, że ta, która była własnością bardziej mądrej istoty, była zazwyczaj i poważniejsza. Opowiedziała hym dużo ciekawych i zabawnych rzeczy, ale boję się bardzo gniewu mej właścicielki. Mogę powiedzieć, że byłam drugą duszą mej właścicielki. Nasłuchalam się plotek, ploteczek, trochę wiadomości naukowych i innych, mniej lub więcej ciekawych i pożytecznych rzeczy. Tak płynęło mi życie.

Zbliżała się starość. — Szczęśliwi są ci, którzy nie wiedzą, co to starość, ale ja biedna poczułam ją. Poznałam te smutne godziny. Przeżyłam poniżenia i poniewierki. W młodości towarzyszyłam mej pani, a teraz stara, brzydka, nic nie warta poniewierałam się po kąłach. Kolor mój niegdyś granatowy wyblakł, straciwszy dawny połysk, świeży i lśniący. Sznurek dawniej złoty stał się sznurkiem o nieokreślonym kolorze. Daszek? — No tego to już nie wspominam, bo był w najgorszym stanie. I tak z rezygnacją oczekiwałam śmierci.

Życie moje zmieniło się bardzo. Nie wisiałam jak zwykle na powieszadle, ale byłam w rękawie a kilka razy nawet w kieszeni. Tam było mi najgorzej. Bez powietrza i światła, myślałam, że się uduszę, ale zdrowy organizm mimo starości przetrzymał wszystko. Ale te kieszenie! A ich zawartość! Widziałam w nich ogryzki, okruszyny, różne papiery, kilka par rękawiczek, czasem trzy z prawej ręki! Widziałem też inne rzeczy, ale

raz tylko zobaczyłam ... dziurę, no, ale raz tylko jedyny. Bardzo się dziwiłam, że tak rzadko widziałam pieniądze, o których tak często słyszałam. W kieszeni ich nie było, były zezwyczaj w torebce, lub w rękawiczce.

Przed dwoma laty, gdy byłam pobrudzoną, trzepano mnie i zdmuchiwno najmniejszy pylek ze mnie. Teraz musiałam służyć czasem nawet za szczotkę do bucików. — Jeden szczególnie dzień utkwil mi w pamięci. On to przyczynil się do szybszego starzenia się. Było to tak:

Raz na jakimś obchodzie powieszono mnie wraz z mym przyjacielem płaszczem, duszą bardzo pocziwą, na jakimś żelaznym kołku wieszadła którego nigdy w domu mej właścicielki nie widziałam. W sąsiedztwie mojem wisiała inna czapka, podobna do mnie i kilka innych czapek, które mi się od urodzenia nie podobały. Miały bowiem zamiast tylu rogów, co ja tylko cztery rogi i pasek zdaje mi się amarantowy z białym. Widok rzeczy nielubianych działa zwykle dosyć ujemnie i na mnie też podobnie podziałał. Wisiałam dosyć długo więc miałam czas przypatrzeć się wszystkiemu i moim dziwnym towarzyszcóm. Zauważam, że ja je tylko nielubiłam, bo przez inne moje towarzyszki były one dosyć mile widziane. Nieskończyłam jeszcze obserwacji moich, gdy przysłała moja pani i zamiast mnie wyzwolić z tej opresji, wkłada inną czapkę i to jeszcze mego wroga. Czapka ta gorzej wyglądała odemnie, lecz pani moja dosyć dobrze w niej wyglądała. Co dalej było niewiem, wiem tylko, że chorowałam bardzo długo i gdy później zobaczyłam się w lustrze, wyglądałam okropnie, zupełnie nie do poznania. — Podobnych dni miałam dużo, ale ten szczególnie utkwil w mej „Czapkowskiej Pamięci.“

Kończę mój szkic życiowy, obejmujący lata mego istnienia i proszę bardzo nie zważać na zły układ zdań i na styl, gdyż pisała to Czapka Uczniowska, a nikt inny.

N. Żd.



Zdzisław Szafranek.

Artystyczne i chrześcijańsko-apologotyczne znaczenie powieści Henryka Sienkiewicza

„Quo Vadis“

a)

(Dokończenie)

Chrześcijaństwo przyniosło światu nowe moralne zasady życiowe. Zupełnie odrębne od tych zasad, które głosiły filozofje ówczesne, mianowicie: stoicka, egoistyczna oraz inne współczesne wyznania religijne. Dla tego właśnie spotkało się chrześcijaństwo z takim niezwykłym oporem zepsutego serca ludzkiego. A jednak mimo silnego oporu walczyło o powagę i uznanie. Wtem również trzeba się dopatrzeć zasługi chrześcijaństwa. Winicjusz zapytuje apostołów, co oni przynoszą światu — „Przynosimy miłość“ — odparł Piotr. Dziś lepiej oceniamy co dopiero wymówione słowa św. Piotra — wówczas były one niezrozumiałe, jedynie dlatego, że nie starano się ich zrozumieć. Dobrze wiedzieli ówczesni, co znaczyło zrozumienie tych słów, poprostu, tak samo jak Petronjusz nie chcieli przyjąć skutków tej miłości. Miłość bliźniego była tą potęgą, która zdruzgotowała polityczno — socjalny gmach Rzymu. To zwycięstwo przedstawione w „Quo Vadis“ jest ową cudowną apologją wiary.

Zdawałoby się, że chrześcijaństwo przez surowe osądzenie zmysłowych rozkoszy czyni życie ponure i smutne i że przez swe dzieło uniemożliwia postęp kultury ludzkości. Nawet Winicjusz cierpi przez pewien czas pod brzemieniem tych obaw i przesądów. Wtenczas nienawidzi tego Chrystusa, który mu wydarł Ligję. Pod tym względem był fanatykiem. Później usprawiedliwiał swą rozpacz i wściekłość.

Prawdziwym spadkobiercą nie jest Kryspus, którego małoduszne usposobienie przesadza naukę Chrystusa i utrudnia przez to poniekąd jarzmo nauki Jezusa Chrystusa (w pojęciu ówczesnych, a także często i dzisiejszych ludzi): Usta Kryspusa łatwo otwierają się do przekleństwa i potępienia. Ten źle pojął naukę Pana. Prawdziwymi spadkobiercami Jego nauki to Paweł św., apostoł miłości i św. Piotr, wzór szlachetnego umiarkowania. Jak miła, wzruszająca, a zarazem tak pełnej wewnętrznej prawdy jest ta postać apostoła, kiedy biedna Ligja zmieszana i przestraszyła się hurzliwą gorliwością Kryspusa, który lajał jej skłonność ku Winicjuszowi, kiedy z ust jego płyną słowa pełne miłości i zachęty: „Milujcie się w Panu i na chwałę Jego, albowiem niemasz grzechu w miłości waszej“. Ci dwaj apostołowie, którzy z tak łagodną roztropnością rozstrzygnęli kwestję miłości, nie tracą rozumnego spokoju wobec zastraszających okrucieństw, do których zniża się oszalały, cesarski Rzym. Oni nie przeklinają jak Kryspus, bo nauczyli się od Chrystusa tylko przebaczać. Mile nawoływanie pasterzy są dla prześladowanej i rozprozonej trzody niewymowną pociechą w godzinie konania. Chrześcijanie umierają z uśmiechem i modlitwą na ustach, z miło-

ścią i nadziemską radością duszy. To dziwi bardzo uczestników cyrku. Chrześcijanie śmiercią swą wystawiają świadectwo światu, że chrześcijaństwo przyniosło na ziemię nie tylko miłość i radość, ale i prawdziwe życie. „Umiemy umrzeć” dumnie mówi Petronjusz uczniem Chrystusa, ale chrześcijanie mogli z pełnym prawem mu odpowiedzieć: „my”, jedynynie my umiemy żyć. Zaprawdę, czyż można było nazwać życiem to, co tkwiło w spotęgowanym użyciu zgrozy, wojny i cyrku, co tkwiło w daremnym szukaniu prawdy w nieprzebytej mgłę ziemskich mniemań? Czyż można było nazwać życiem to, co zależało od niespodziewanych kaprysów zmanierowanego i szalonego tyrana? A jeśli się kto z owych ludzi czuł kiedy szczęśliwym, to chyba w stanie oszolenienia i odurzenia. Pozorny ich spokój wynikał stąd, że doszli do celu swych życzeń pracą niebezpieczną i ciężką. Może umierali czasem weseli, ale nigdy zadowoleni. Uśmiech na wybladłych wargach był wymuszony i przez to zdradzał ubolewanie i wątpliwość. Epikurejczycy umierali, oplakując stracone przyjemności, stoik przeklinając niepoznaną prawdę

Powieść kończy się śmiercią Petronjusza i zaślubieniem Winicjusza z Ligją. Nie tylko jedynie człowiek sam umiera w Petronjusz; śmierć jego jest zniknięciem cywilizacji, którą symbolicznie ucieleśnił. Połączenie dwóch kochających się nie jest zwykłym spojeniem serc, którem zazwyczaj kończą się powieści lub dramaty; nie — ono jest symbolem owej niezrównanej siły żywotnej, która żyje, mieszka i tkwi w chrześcijaństwie. Starzy apostołowie, którzy wiekiem stoją jedną nogą w grobie i chociaż czują zwisający cesarski miecz nad głowami, to oglądają radośnie nowozaślubionych, którzy dźwigają bogatą przyszłość kościoła w płodnym łonie.

Autor, kilkakrotnie cytowanej w referacie rozprawy o „Quo Vadis” pod koniec swego pisma błogosławi Henryka Sienkiewicza z głębi chrześcijańskiej i kapłańskiej duszy, za to, że nie zarumienił się wyznawać chrześcijaństwa przed towarzystwem, które zapewno nie posiadało zapалу wiary dawniejszych czasów dla Boga — Człowieka, i za to, że w „Quo Vadis” wskrzesił tego Chrystusa, pod którego tchnieniem budzą się do życia oziębli i ci, których dusze szarpie wątpliwość. Dalej pisze tenże: Wspomniane hymny na cześć Chrystusa wydobywają się z kart polskiego artysty. Sympatja dla niego rośnie, gdy pomyślimy, że jest synem tego nieszczęśliwego kraju, którego okrutne uciśnienie jest niezmyłą plamą wstydu w historii, a który nauczył się w szkole Chrystusa pragnąć sprawiedliwości. W każdym razie, mogę powiedzieć, że **naród, który posiada takie arcydzieła więzów jest, niż jego gnębiel.**

I rzeczywiście „minął Nero, jak mija wichur, pożar, wojna, mór”, a orzeł polski, skruszywszy więzy, wzbił się wolny w górę i witając „jutrzeńkę

swobody", zatoczył na Rzeczpospolitą polską koło, i wreszcie w majestatem locie spuścił się na zamek królewski w Warszawie, opierając jedno skrzydło o Bałtyk, a może i kiedyś, jak dawniej, drugie spocznie na fałdach Morza Czarnego. . .



Z teki wzorowych wypracowań.

Reprodukcja własnego snu

(odmiennego od świata rzeczywistego).

napisał JAN FRĄCKOWIAK.

(Dokończenie).



Szepnął wtenczas karzeł: „Byłeś w mieście i widziałeś tłum korzenie; tu widzisz to samo. Wiedz tylko, że tam korzenie krępowane są w swej pracy przez braci swych, wyżej postawionych, których tu porównać można do zgnitych pni i liści zhutwiałych koron. Patrz, tu się ziemia porusza swobodnie; patrz, jak sama idzie w objęcia korzeni, bo tu nie ma fałszu i wyzysku, bo tu jest natura piękna i zgodna. A ja widząc to pomyślałem, że tu jest praca pożyteczna, a tam nie. Widziałem potem, jak karzeł ciemnymi gankami podziemnymi chodzi i rozkopuje ziemię i pomaga delikatnym włosieniom i wskazuje im części pożywne, usuwając kamienie i glinę. Przy tej pracy karzeł olbrzymiał w oczach. I rósł i piękniał. . . Szara jego twarz nabrała rysów szlachetnych, wyobrażających poświęcenie. Zwróciwszy się do mnie, rzekł głosem, od którego zdrzały, w ciemnościach ziemi będące korzenie: „Oto moja praca, którą mi nadano, oto masz jej obraz. Bo spełniam

ją rzeczywiście w onem mieście, które ci pokazałem. Zestaw widok tych korzeni i tam tego ludu. Zobaczysz tłum dźwigający wszystko, co ponad nim się wznosi. Ja mam mu ulżyć w dźwiganiu ciężarów i trosk tego świata.“ Karzeł, mówiąc to, zamienił się w setki rąk i głów pracujących. Ręce trzymały pióra i księgi, a w głowach dukonywało się dzieło myśli.

Następnie ukazał mi się las w postaci szeregu pni gładkich i śliskich, jako podstęp, niewzruszonych, jako prawa natury a twardych jak metale. Karzeł, który znowu ukazał

się przy mnie rzekł: „Widzisz te pnie? One są osnową lasu. One ciągną i gromadzą zyski uciulane przez korzenie, lecz ich same mało używają, bo w nich toczy się walka zaciekle.“ A wyczytawszy w mym wzroku niezrozumienie, rzekł: „Chódź zaprowadzę cię do miasta.“

Poszliśmy więc, po raz wtóry po strasznych zaułkach, gdzie ciemność była wykalająca oczy błyskawicą, smród naszydzająca się z nas poczwara, a brud i kurz, potwornymi gadami. Poczwary te wyły do karla: „Usui nas, walcz z nami, a będziesz bohaterem!“ W odpowiedzi na to krzyknął mój tajemniczy towarzysz „Biada wam!“ i prowadził mnie dalej, na plac, oświetlony jaskrawem światłem.

Pracowało tu niezliczone mnóstwo kowalów, każdy przy swoim ognisku i kowadle. A wszyscy byli ogorzali i mężni. Z płatów rozpalonego żelaza, które wychodziły z pod ich młotów, rosły wieże, okręty, rosły wozy, koleje i wory ze złotem. Naraz spostrzegłem, jak do jednego z tych worów przybiegł jeden z owych tłumów, które widziałem w innej dzielnicy tegoż miasta. Rzucił pracującym wór z chlebem, a wziął wór ze złotem. Wówczas zjawił się z drugiej strony człowiek mały i wstrętny. Nos miał zakrzywiony, usta zacięte, w oczach zielonych gorzała chciwość. Ow szponami, które miał zamiast rąk, chwycił za wór ze złotem, który niośł człowiek z tłumy. I zaczęli się ci dwaj zmagać pomiędzy sobą. A podczas tej walki w oczach jednego gorzała chciwość, a w oczach drugiego rozpacz.

I rzekł karzeł: „Porównaj pnie lasu z osnową życia.“ Widziałem potem jak karzeł, olbrzym, chwyciwszy miecz, leżący na jednym z kowadeł, rozciął wór, o który hój wiedli tamci. I rzekł znowu: „Patrz, chciałbym być sprawiedliwy, osądz. czy dobrze zrobiłem.“

Widziałem jeszcze więcej. Widziałem, jak chleb przyniesiony przed chwilą, znikł, zmielony potężnymi szczękami kowalów, i czułem, jak siła odrodcza pierwotnego pokarmu udzielała się ich młotom, udzielała się w dalszym stopniu ich pracy, szlucce i woli. I karzeł przemówił: „Uważaj i pamiętaj, bo oto widzisz, jako ze zysków uciulanych przez korzenie, powstają dzieła wyższe nad chleb codzienny, widzisz pracę i walkę w pniu.“

Na tym ogromnym rynku pracy miał także karzeł wyznaczoną rolę. Bo nagle znikł aby za chwilę ukazać się w postaci olbrzymia. I zawołał potężnym głosem do pracujących: „Czyście tylko rzeczy dobre!“ I czynili tylko rzeczy dobre i pożyteczne braciom. Na głos ten zbliżył się też człowiek ze wstrętną twarzą, nacechowaną chciwstwem i oddał połowę wora ze złotem wyrobnikowi chleba. Wtedy karzeł zwróciwszy się do mnie, rzekł: „Spójrz, za moim powodem czynią samo dobro, i pożytek. Tak samo czynią pnie (tu wskazał na las) nieskrępowane ni lotnem powietrzem, ni zwałem zgnitych pni i liścia. Ale chodź pokaże ci koronę.“ I po raz wtóry znalazłem się w lesie.

Tu karzeł dalej ciągnął swoje opowiadanie o dziełach lasu. Wskazawszy ręką na koronę drzewa, rzekł: „Oto masz najszlachetniejszą część drzewa. W koronach, w tych liściach ozdobnych i symetrycznych, w tych kwiatach, niezbadanej hudowy, zawiera się to wszystko najlepsze, co wydać może las. Kwiaty i owoce są gwarancją długotrwałości rodu leśnych olbrzymów, liście opatrznymi regulatorami soków, krążących w słojach drzewnych. A teraz pokażę ci obraz korony życia.“ Po chwili przyszliśmy przed hramy ogromnego pałacu z białego marmuru.

Weszliśmy do ozdobnych sal, o lustrzanych posadzkach i kunsztownie rzeźbionych meblach i gzymsach. W pierwszej sali siedzieli na ławach sędziwi mężowie, z których każdy inną głosił zasadę. Ale wszystkie razem zebrane, brzmiały zgodną harmoniją twierdzeń naukowych. Pod wrażeniem, które mnie ogarnęło, widziałem, jakby cały wszechświat, kierowany opiekunczą, a niewidzialną ręką i uderzyła mnie łatwość, z jaką w tej chwili przedstawić sobie mogłem, czem jest życie, natura i śmierć. A karzeł, potakując moim myślom rzekł: „To co widzisz, to nauka w dzisiejszej swej doskonałości, to praca, która w wydajności przewyższa wszystkie inne poczynania ludzkości, to wykwit rozumu.“

W następnej sali zobaczyliśmy dwa świetlane bóstwa „Cnotę” i „Wolę.”

Nakoniec weszliśmy do sali, gdzie rozbrzmiewały dźwięki niebiańskiej muzyki. Ściany tej sali wybite były gobelinami i bezcennymi dziełami sztuki malarskiej. W rogach stały posągi i rzeźby. Na półkach, pod ścianami leżały pisane twory ludzkiej wyobraźni. Na stropie zaś sali widniał napis, który głosił, że tu mieszka „Sztuka.”

Gdy opuściliśmy pałac, rzekł karzeł, wskazując na jego nieskalanej białości mury: „Oto w tym pałacu mieści się korona dzieł ludzkich. Pokazałem ci korzenie i pnie i korony lasu. A teraz opuszczę cię bo woła mnie prawo najszlachetniejsze z praw, bo niepotrzebujące przemocy w wykonaniu; obowiązek. Ty natomiast opuść krainę snu.” To powiedziałwszy, karzeł znikł mi z oczu.

Powłokłem się do bramy miasta. I tu ku swemu zdziwieniu zobaczyłem sędziego, ciężarem wieku przygniecionego mnicha. W ręku trzymał olbrzymią klepsydrę. Ciekawy, przystanąłem, a on odezwał się temi słowy: „Młodzińcze, wstrzymaj swe kroki. Jam Chronos, jam czas, ja twój sen widziałem. Wiem także, iż niełatwo ci go zrozumieć. To co widziałeś, tego będziesz doświadczał w życiu. Wiedz, że las, który widziałeś to las—społeczeństwo. Korzenie, pnie i korony to same warstwy społeczne lub ich prace i role. Karzeł żyje w lesie i pielęgnuje go; w społeczności ludzkiej byłby on warstwą inteligentną i zorganizowaną należycie. Wreszcie miasto, to pole pracy społecznej. Zgniłe pnie i korony, to przesady wyrzucone z obiegu, spalone prawa i zasady. Tyle miałem ci do powiedzenia mój synu. Idź w pokój!”

Obudziłem się cały w zdumieniu!

K O N I E C.



DZIAŁ SPORTOWY

pod redakcją **Józefa Mertki.**

Dzieje Sekcji Tennisowej „Venetii“

Rok 1925.

(Ciąg dalszy)

Nastąpił wreszcie historyczny finał rozgrywek o mistrzostwo (15. maj). Do końcowych gier zakwalifikowało się trzech kolegów, i to: Kalwiński Kazimierz, Kargel Edward i Domagała Tadeusz (górną ulicą Gimnazjalną). Jeżeli chodzi o szanse każdego z nich, to „vox populi” upatry-

wał mistrza w Karglu. Niejedni przepowiadali Kałwińskiemu mistrzostwo, a prawie wszyscy zgadzali się na to, iż flegmatyczny Tadek będzie miał także coś do mówienia i utrudni im troszeczkę zdobycie pierwszych miejsc.

I rzeczywiście pierwsze kolo finałowe potwierdziło w zupełności te przypuszczenia. Kałwiński z trudem bije Domagałę, w trzech setach, 6:8, 6:4, 6:3. Potrzebował jeszcze zwyciężyć Kargla, a zdobył by mistrzostwo. Lecz tak się nie stało, albowiem zostaje przez tegoż pobity również w 3 setach, 3:6, 6:0, 3:6. Faworytem wobec tego sukcesu jest Kargel, któremu kilku już gratuluje nawet mistrza, gdyż byli zdania, że wyjdzie zwycięsko ze spotkania z Domagałą. Tadek jednakże spletał wszystkim figla i odprawił z porażką domniemanego mistrza w 3 setach 4:6, 6:4, 6:4. — Do zdobycia mistrzostwa niezbędne było zwycięstwo nad oboma przeciwnikami, przyp. Red.—

Wobec tego że każdy z finalistów miał po jednej wygranej i jednej przegranej grze, musiano „da capo“ rozpocząć walki. Drugie kolo finałowe jest wprost odwrotnym obrazem pierwszego i przyniosło rewanże wszystkich zwyciężonych i klęski poprzednich zwycięzców. Domagała Tadek odnosi bezapelacyjne zwycięstwo nad Kałwińskim w 2 setach, 1:6 i 3:6, lecz niespodziewanie ulega Kargłowi w 3 setach, 3:6, 8:6 6:3. Faworyzowany przez „Fortunę“ Kargel już po raz drugi sięga po mistrzowski tytuł, i po raz drugi w decydującym momencie opuszcza go szczęście, albowiem Kałwiński Kazek zagradza mu drogę do mistrzostwa, zwyciężając go w 3 setach, 6:2, 2:6 6:4.

I znowu ta sama historia. Z powodu niedostatecznej ilości gier wygranych po stronie jednego z tennistów trzeba od początku walczyć. Rozpoczyna się trzecie z rzędu kolo tego pamiętnego finału. Otwiera je niezwykle interesujące spotkanie Kałwiński — Kargel, dwóch pretendentów do palmy pierwszeństwa. Po zaciętej i uporczywej walce zwycięża Kałwiński Kazek w 3 setach, 2:6, 11:9, 8:6. Lecz Kargel nie daje jeszcze za wygrane i mści się na Domagałę również w 3 setach, 2:6, 8:6, 6:2. Teraz liczone już na pewne zwycięstwo Kałwińskiego. Myliłby się jednakże ten, kto by sądził, że Tadek stracił wszelką nadzieję. Po raz wtóry zrobił wszystkim niespodziankę i poparł swoje „veto“ ładną wygraną także w 3 setach, 5:7, 6:4, 6:8.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Robak.



KRONIKA.

„Faust“ w Ostrowie. Zespół artystów teatru Warszawskiego dnia 13. I. wystawił w Teatrze Miejskim „Fausta“ Gounoda. Licznie zebrana publiczność spodziewała się znać prawdziwej uczyty duchowej, lecz w pewnej mierze się zawiodła, bo artyści nie wydali ze siebie tego, czego się od nich spodziewano. Publiczność opuściła salę niezbyt zadowolona.

W gimnazjum naszym odbył się dnia 16. I. seans magiczny, który chociaż nieoparty na żadnych badaniach naukowych i nie dający nic nowego, to jednak wzbudził wśród widzów wielkie zainteresowanie i podziw dla niezwyklej wprost zręczności szarlatana.

W poniedziałek, dnia 17. I. odbyło się miesięczne zebranie G. K. L. O. P. P. w naszym gimnazjum. Po otwarciu zebrania przystąpiono do obioru nowego sekretarza, na miejsce ustępującego kol. Krupy. Jednogłośnie obrano sekretarzem kol. Gieldzika. Roztrząsano kwestję sekcji modelarskiej. Kol. Zd. Szafranek przedstawił nam dobitnie zadanie tej sekcji i apelował do członków, aby ci zainteresowali się nią żywiej, aniżeli to do tego czasu czyniono.

Zebranie nasze zaszczycił swoją obecnością p. prof. St. Zbierski, który zresztą wszędzie stara się współpracować z nami, uczniami, na polu społecznym, za co jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

Po godzinnych obradach zamknięto zebranie.

H. G.



Dział rozrywek umysłowych pod redakcją Sława.

Logogryf (ulożył Cz. Marciniak).

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół dadzą to samo znaczenie t. j. zdarzenie z czasu walk z bolszewikami.

Sylaby:

a, ą, bą, bów, ca, co, do, dy, gnac, i, jał, jon, kąd, li la, ma, mi, mos, na, nil, no, po, sa, sta, ta, tard, ti, tu, ul, war, we, wi, za.

Znaczenie wyrazów:

1) Wypalanka winna. 2) Nieodwołalne postanowienie (bez ostatniej litery). 3) Przysłówek. 4) Liczba z 30 zerami. 5) Odszczepieniec. 6) Anarchista, używający materiału wybuchowego jako środka zniszczenia. 7) Drugi przypadek liczby mnogiej pewnej gry. 8) Spójnik. 9) Wyspa. 10) Inaczej „wyzywał”. 11) Po francuzku „żyło się dobrze” (fonetycznie).

Bilety wizytowe (ułożył Fat i II).

Z podanych nazwisk ułożyć zawód każdej osoby.

P. Feroros

D. Roteryk

W. Kodata

A. Marcetauf

R. Dekarto

I. N. Plakat

Z. Reksarte

Jan Sortuz

C. J. Lopanti

Kupon Działu Zadań

„Promień” nr. 7.

Wyciąć i dołączyć do rozwiązania.

Za nadesłanie dobrych rozwiązań Redakcja przeznaczą dwie nagrody.

Nadsyłać do dnia 7. bm.

Rozwiązanie z nr. 6.

Logogryf: Brahmanowie, Mahometanie. (Ewa Gilcon—Nagłowice).

Dobre rozwiązanie nadesłali:

St Szymkowiakówna (nagr. I.), Rigl (nagr. II.) J. Hartwich, L. Brendel, F. Pluciński, Fat, Finis, Tis, Heurekos, Paw, Kon, M. D. Kameleon, Chrzęszcz, S. Gieldzik, W. Dembski, Tereferę, S. Piątek.

Odpowiedzi Redakcji.

Kol. Z. S. — Odpowiem w liście.

Kol. Mroziak. — Nie umieścimy, bo są usterki w stylu. Prosimy bardzo o coś nowego, a może wydrukujemy.



OGŁOSZENIA



Udzielam lekcyj

języka polskiego i niemieckiego w zakresie siedmiu klas gimnazjum.

Zgłoszenia do redakcji pod nr. 1.

Udzielam lekcyj

matematyki w zakresie pięciu klas gimnazjum.

Zgłoszenia do redakcji pod nr. 2.

Adres redakcji — Stanisław Szymczewski, OSTRÓW (Wlkp.) Raszkowska 26.

